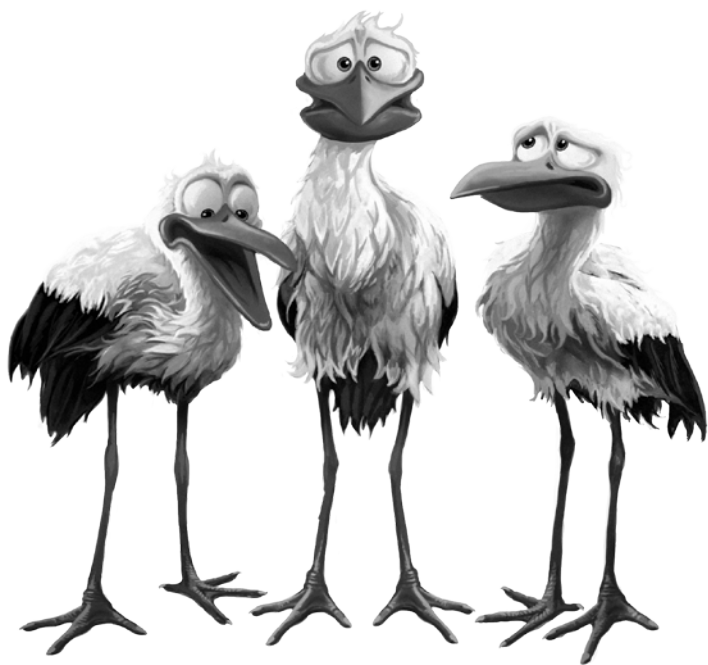


ALEKSANDRA RUMIN

# Zbrodnia *po polsku*



Copyright © 2020 ALEKSANDRA RUMIN  
All rights reserved / Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright © WYDAWNICTWO INITIUM  
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja: AGNIESZKA SZMATOŁA

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

Koncepcja okładki: PATRYK LUBAS

Wykonanie ilustracji okładkowej: PIOTR SOKOŁOWSKI

DTP: PATRYK LUBAS

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

WYDANIE I

ISBN 978-83-66328-43-3



Wydawnictwo INITIUM

[www.initium.pl](http://www.initium.pl)

e-mail: [initium@initium.pl](mailto:initium@initium.pl)

[facebook.com/wydawnictwo.initium](https://facebook.com/wydawnictwo.initium)

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA S.A.

ALEKSANDRA RUMIN

# Zbrodnia

*po polsku*



WYDAWNICTWO  
INITIUM

KRAKÓW 2020



*Niniejsza książka powstała w czasie przymusowej izolacji, w trakcie której biedna autorka znieczulała się przemysłowymi ilościami sześćdziesięcioprocentowej wódki, dlatego nie tylko nie poczuwa się ona do żadnej odpowiedzialności za obrazoburczą treść powieści, ale też z całą stanowczością się od niej odżegna.*



# PROLOG

Mężczyzna poprawił gruby sznur, który ściśle oplatał szczupłe nadgarstki i szyję młodej kobiety.

Prawie kwadrans zajęło mu przywiązanie tej kruczo-  
włosej piękności do drewnianego słupa wkopanego w zie-  
mię. Nieźle się przy tym nagimnastykował i napocił, bo  
bezwładne ciało ważyło chyba tonę. Przed przystąpieniem  
do pracy obejrzał aż cztery filmy instruktażowe na YouTu-  
bie, bo chciał mieć pewność, że mordowanie pójdzie mu jak  
z płatka.

Dobry węzeł to podstawa.

Nie tam jakaś kokardka czy najzwyczajniejszy w świecie  
supelek.

Fuszerki nie uznawał, chociaż to całe wiązanie było tyl-  
ko elementem przedstawienia. Apetyczna brunetka i tak nie  
odzyska przytomności, zanim do akcji wkroczą jego pierza-  
ści przyjaciele.

Zadbał o to trzy godziny wcześniej, serwując jej na ko-  
lację schabowego z kapustą i tanie wino do popitki, uprzed-  
nio doprawiając podrzędny sikacz z dyskontu sekretnym  
składnikiem. Bynajmniej nie „miłością”, a wyjątkowo sil-  
nym lekiem na receptę, kupionym, rzecz jasna, bez recepty  
na bazarze Wolumen od sprzedawcy wzbudzającego wszyst-  
ko z wyjątkiem zaufania. Jak na prawdziwego mężczyznę  
przystało, nie przeczytał ulotki, nie skonsultował się z leka-



rzem ani farmaceutą, tylko wrzucił do butelki kilka białych proszków, które, jak obiecywał na opakowaniu turkmeński producent, zwałyby z nóg kilka mamutów, gdyby te wło-chate zwierzaki nie okazały się na tyle rozsądne, żeby już dawno wyginąć.

„Głupia krowa”, pomyślał z pogardą, przyglądając się nieprzytomnej kobiecie, i splunął w jej kierunku.

– Jak bociany na wiosnę... – zanucił pod nosem, klękając na mokrej trawie. – ...powrócimy do gniazd, do tej ziemi radosnej, do tych wsi i tych miast... – zakończył półgłosem i rozejrzał się wokół.

Na leśnej polanie nie było żywego ducha.

Tylko on i jego przyszła ofiara.

Nie mógł się doczekać, aż zobaczy krew wypływającą z jej ciała, zanurzył więc dłoń w wypełnionym po brzegi wiadrze, które przytaszczył z naczepy ukrytego za szpale-rem drzew samochodu dostawczego.

– No, moja małeńka – zwrócił się do dorodnej żaby, która jeszcze kilka godzin wcześniej radośnie kumkała nad pobliskim stawem i snuła plany na resztę swojego płaziego życia. – Pora, żebyś pomogła mi przejść do historii polskiej kryminalistyki!



# Rozdział 1

## Cholerny poniedziałek

1.

Jan Polak, jak każdy pracownik budżetówki, nienawidził poniedziałków.

Właściwie nie znosił też wtorków, nie przepadał za środami, pałał niechęcią do czwartków i z bliżej nieokreślonych powodów nie cierpiał piątków, ale tych przeklętych poniedziałków nienawidził w szczególności.

Początek tygodnia kojarzył mu się bowiem z kacem i pustym portfelem. Jak na chłopa z krwi i kości przystało, większość weekendów, o ile trafiło mu się wolne, spędzał w bielańskiej mordowni Pod Martwym Konfidentem. Przybytek słynął z taniego piwa i znacznie droższych, ale za to młodych i chętnych dam, które – zapewne z wrodzonej przedsiębiorczości, bo przecież nie z powodu trudnej sytuacji na rynku pracy – oferowały klientom uciechy cielesne różnego kalibru, ale niestety o mocno ograniczonym poziomie perwersji.

Co najgorsze, w każdy poniedziałek, od przeszło pół roku, punktualnie o ósmej trzydzieści i w asyście adwokatów, Jan spotykał się z eksmałżonką Żanetą *de domo* Bryndzą, *de facto* żmiją.



Wizja godzinnego obrzucania się błotem skutecznie odbierała mu chęć do życia, ale musiał jakoś ścierpieć kolejną wymianę ciosów. Prawnik, zajmujący się głównie przysyłaniem mu coraz to nowych rachunków za konsultacje, które, jak można było sądzić po kwotach do zapłaty, odbywały się czternaście godzin na dobę, siedem dni w tygodniu, zapewniał go, że on, Jan Polak, wzorowy obywatel i podpora społeczeństwa, ma duże szanse na odzyskanie praw do opieki nad ukochaną Jolantą.

Tej nadziei się trzymał, tylko ona dawała mu powód do porannego wstawania z barłogu.

Tak, z barłogu, nie z łóżka, bo łóżko – podobnie jak samochód, dom z ogródkiem odziedziczony po babci i portret pradziadka Gerwazego na białym koniu, autor nieznany – było w wyłącznym posiadaniu znienawidzonej Żanety.

Ekszona nie okazała się aż tak głupia, na jaką wyglądała, i za odłożone potajemnie pieniądze wynajęła nieprzebiejającego w środkach szarlatana – mecenasa Jodłowca, a ten bandyta w garniturze za dziesięć patyków oskubał kompletnie zaskoczony Polaka ze wszystkich dóbr ruchomych i tych całkiem nieruchomych.

Jan Polak został z niczym.

Nie miał po co żyć.

– Zostałem z niczym. Nie mam po co żyć – wyszeptał do siebie, otwierając na próbę jedno oko.

Blask dochodzący z okna, w którym wisiała biała zasłonka w czerwone kropki, skutecznie zniechęcił go do podjęcia próby zmierzenia się ze wstającym właśnie dniem.

– No, bardzo ci dziękuję, Dżoni, naprawdę – dobiegło z drugiego barłogu, usytuowanego pod drzwiami do łazien-

ki. – Nie ma to jak miłe słowo na dzień dobry. Od razu poczułam się taka kochana...

– Daj spokój, Ola – wysyczał Polak, przecierając zaspiane oczy. Z głośnym stęknieniem udało mu się podźwignąć do pozycji siedzącej. – Czy ja nie mam dość zmartwień? Z tobą też muszę się użerać? – zapytał z wyrzutem, zsuwając z siebie zapchlony koc. – Zamiast strzelać fochy, wydawać moje pieniądze na głupoty i spać do południa, ogarnęłabyś trochę komnaty. – Wskazał ręką na zagracony pokój ze ślepą kuchnią, który od kilku miesięcy wynajmował za horrendalne, przynajmniej jak na jego możliwości finansowe, pieniądze w kwocie tysiąca dwustu złotych plus media. – Syf, malaria, a ta leży sobie jak jakaś, nie przymierzając, księżniczka i nawet paluszkami nie ruszy.

– Nie mogę się przemęczać. Lekarz mi zabronił!

– A to coś nowego! – wrzasnął rozeźlony Polak, szukając w worku na śmieci w miarę czystej koszuli. Szafy się nadal nie dorobił, bo tę po babci, bukową, rzeźbioną, zabrała Żaneta i ani jednego wieszaka, harpia, mu nie dała. – A cóż to paniencie dolega? – zapytał z kpiną w głosie i, nie czekając na odpowiedź, udał się do kuchni, by poszukać czegoś do zjedzenia, chociaż z góry wiedział, że i tak niczego nie znajdzie.

Co prawda planował zrobić zakupy przed weekendem i w tym celu w piątek po piętnastej udał się do pobliskiego sklepu. Nie wiedział, co czyni, bo w dyskoncie trwał w najlepsze Tani Piątek, kilogram indyka za jedenaście siedemdziesiąt dziewięć. Zanim dotarł do kasy, został zelżony i dwukrotnie przejechany wózkiem na zakupy. Do działu



mięsnego w ogóle nie udało mu się przedostać, więc zły na cały świat, a w szczególności na łowców promocji, złapał tylko sześciopak piwa i paczkę słonych paluszków. Zdobyte z takim trudem i poświęceniem zapasy żywnościowe wyczerpały się raptem po jednym wieczorze przed telewizorem. W sobotę już nie odważył się pójść do sklepu. Mieli rzucić parówki cielęce, siedem dwadzieścia dziewięć za opakowanie, liczba opakowań objętych promocją ograniczona.

Za Polakiem w stronę buczącej lodówki podreptała różowowłosa postać w podkoszulku ze wszystkim mówiącym napisem: „Fuck tha Police” i wizerunkami członków amerykańskiej grupy hip-hopowej N.W.A.

– Jestem w ciąży! – obwieściła triumfalnie Ola i patrzyła, jak Janowi wypada z ręki karton z zepsutym mlekiem.

– Do ciężkiej cholery, Oluś! – krzyknął, wycierając zalaną podłogę brudną szmatą, która, po dokładnych oględzinach, okazała się jednak jego wyjściowymi spodniami. – Ile razy ci mówiłem, żebyś tak nie żartowała! Masz czternaście lat, to nie wypada, moja panno.

– Spoks, Dżoni – odparła nastolatka i sięgnęła po smartfona, który ładował się na stoliku przy lodówce. – Coś ty dzisiaj taki spięty, co? I nie wrzeszcz na mnie. Jestem prawie dorosła, bo dzieci teraz szybciej dojrzewają. I będę robiła, co chcę, kiedy chcę, jak chcę i z kim chcę, a tobie nic do tego. W końcu nie jesteś moim ojcem!

– Na moje nieszczęście twoja matka, ta żmija, twierdzi, że jednak jestem... I wiem, co powiesz – uprzedził próbującą wejść mu w słowo córkę. – Kłamstwo to jej drugie imię, ale w tej kwestii jestem skłonny jej uwierzyć – stwierdził

z przekonaniem, przyglądając się uśmiechającej się do niego kpiąco Oli.

Podobieństwo było naprawdę uderzające.

Te same szare oczy, długi nos i identyczny wykrój ust, a do kompletu lekko odstające uszy. Dziewczyna wyglądała jak skóra zdjęta z ojca.

W tym wypadku buntownicze nastoletnie jabłko faktycznie nie padło daleko od pokonanej przez trudy egzystencji jabłoni.

– Musisz mi bez przerwy dokładać zmartwień? Wiesz, jaką mam odpowiedzialną i stresującą pracę.

– I świetnie płatną – odgryzła się latorośl.

– Pieniądze szczęścia nie dają – powiedział z przekonaniem, jakie może żywić tylko ktoś, kto ma na koncie dwadzieścia pięć złotych i osiemnaście groszy.

Ola parsknęła śmiechem.

– Masz rację, co ja za głupoty wygaduję. Ucz się, dziecko, kradnij, jak nadarzy się okazja, bo inaczej skończysz tak jak ja! – Wskazał na swoje wymizerowane ciało w poplamionej piżamie w niebieskie pasy.

– Już na starcie pozbawiłeś mnie szansy na sukces, Dżoni, po tym, jak wybrałeś mi imię...

Scholastyka Polak, nazywana przez szczerze współczujących jej członków rodziny Ołą, posłała ojcu pełne wyrzutu spojrzenie.

Tak, Jan był kompletnie pijany ze szczęścia, ale też, nie oszukujmy się, po spożyciu znacznych ilości alkoholu, kiedy, jak każdy dumny ojciec, wmaszerował do urzędu, by zarejestrować narodziny pierworodnej córki. Z Żanetą ustalili,



że dadzą jej na imię Sandra, ale gdy posępna urzędniczka zapytała o imię dziecka, Jan Polak doznał nagłego pomieszania zmysłów. Od czternastu lat, dwóch miesięcy i ośmiu dni zastanawiał się, dlaczego, na Boga, wykrzyczał wtedy triumfalnie: Scholastyka! I jakim cudem, biorąc pod uwagę ówczesny stopień jego upojenia, udało mu się wymówić to imię na tyle wyraźnie, że urzędniczka nie tylko go zrozumiała, ale też przeżegnała się i pokiwała z uznaniem głową.

Gdy żona dowiedziała się o fatalnym – jak twierdził jej skruszony mąż – przejęzyczeniu wywołanym wszechogarniającym szczęściem, dopuściła się na Janie czynu zabronionego. Córka, kiedy nauczyła się mówić i była na tyle duża, żeby zrozumieć, jaką krzywdę wyrządził jej rodzony ojciec, nie odzywała się do niego przez cztery lata.

– Ile razy mam cię przeproszać, córuś? – zapytał retorycznie Polak i nie czekając na litanie pretensji, postanowił szybko zmienić temat na bezpieczniejszy. – Pierwszy zajmuję łazienkę, bo inaczej spóźnię się na spotkanie z...

– Z tą wiedźmą, moją matką? – zaśmiała się Ola. – Szkoda, że muszę dzisiaj do niej wracać. Nie mogłeś powalczyć w sądzie o więcej niż dwa weekendy w miesiącu? Cały czas mi dupę truje... Ucz się, nie pal, nie ćpaj, nie włócz się z podejrzanymi typami po nocy... Ile można, Dżoni?

– Doskonale wiesz, że u mnie nie ma warunków. U mamy masz własny pokój i pełną lodówkę, a tutaj wiecznie rozszczelniającą się butlę gazową i margines społeczny za ścianą. Zrobiłem, co mogłem, córeczko. Wyszarpałem jej te dwa weekendy z gardzieli strzelającej jadem. Teraz pozostaje mi tylko bitwa o Jolantę.

Na wzmiankę o tej ostatniej dziewczyna się zaperzyła.

– Nic tylko Jolanta i Jolanta. Kochasz ją bardziej ode mnie!

Jan Polak się zafrasował.

Nie lubił prowadzić takich rozmów. W ogóle się nie dogadywał z przedstawicielkami płci przeciwnej, a zbuntowane nastolatki, nawet takie, których narodziny były wynikiem jego niefrasobliwości, uważał za przybyszów z innej galaktyki.

– Oluś, wiesz, że razem z mamą, żeby ją tak piorun strzelił, kochamy tak samo mocno nasze... – tu się zawahał, szukając odpowiedniego słowa – ...księżniczki. Nigdy nie faworyzowałem Jolanty, ale tęsknię za nią okrutnie, a pewnie i ty byś się ucieszyła, gdybyśmy mogli spędzać więcej czasu we trójkę.

Dziewczyna lekko się uśmiechnęła.

Polakowi spadł kamień z serca, a potem trafił go w stopę, bo ścienny zegar w kształcie motocykla wybił godzinę ósmą.

– No i znowu się spóźnię – wrzasnęła, zatrzasnąwszy drzwi od łazienki.

Trzy minuty później wyszedł z niej nieogolony i nieuczesany, ale gotowy do walki na śmierć i życie. Pożółkła koszula, którą wyjął z przepelnionego kosza na pranie, wisiała na nim smętniej niż zazwyczaj.

– Zjedz śniadanie i marsz do szkoły! I żadnego palenia w toaletach w czasie przerw! Żadnego uwodzenia nauczyciela od francuskiego! *Mon Dieu!* Dość już się nasłuchałem od twojej wychowawczyni! W końcu cię wywalą i skończysz



na ulicy! – Córka głośno ziewnęła. – Życz mi szczęścia, dzieciaku – rzucił na do widzenia, łapiąc w biegu stary prochowiec i wciągając go na zgarbiony grzbiet.

Odruchowo sprawdził wewnętrzną kieszeń; broń była na miejscu.

Kiedy znalazł się na klatce, usłyszał dobiegające z mieszkania: „Powodzenia, Dżoni”. Dwa słowa, niby niewiele, ale dodały mu otuchy.

– Będzie ci zajębiście potrzebne – dopowiedziała Ola, kiedy za ojcem zamknęły się drzwi.

2.

Jan Polak bez żalu opuścił ciemną klatkę schodową przedwojennej kamienicy przy placu Konfederacji, w której zamieszkał przeszło rok temu.

Okolica nie należała do najgorszych.

Raptem raz na tydzień dochodziło do rozboju, co jak na Warszawę należało uznać za więcej niż przyzwoity wynik. Co prawda w zeszłym tygodniu trafiło się jedno morderstwo, ale sprawca od razu sam się przyznał, bo od kiedy stracił stołek radnego i wyłądował na bezrobociu, marzył mu się wikt i opierunek na koszt stołecznego podatnika.

Do pracy Polak miał zaledwie piętnaście minut spacerkiem, ale tego poniedziałkowego poranka udał się w dokładnie przeciwnym kierunku.

Spotkanie z Żanetą i prawnikami odbywało się w dzielnicowym Centrum Mediacji przy alei Zjednoczenia. Szedł jak na ścięcie, a jego głowę zaprzętały niewesołe myśli, więc pozornie nie zwracał uwagi na miejscowe szumowiny, które



na jego widok siarczyście spluwały na chodnik i nawet nie podejrzewały, że skrupulatnie notował w pamięci ich nazwiska, pseudonimy oraz stopnie w przestępczej hierarchii.

Punktualnie o ósmej trzydzieści znalazł się przed drzwiami Centrum.

Jak się okazało, Żaneta i jej krwiożerczy pitbull, czyli niezawodny prawnik i, jak skrycie miał nadzieję Polak, zawodny kochanek, w duchu zawsze nazywany przez niego sukinkotem, mecenas Jodłowiec, zajęli już swoje miejsca w ringu.

Żaneta wyglądała jak milion dolarów w fałszywych banknotach, wydrukowanych na domowej drukarce atramentowej starszego typu. Rozwód jej służył, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Naturalnie myszowate włosy zafarbowała na platynowy blond, okulary w grubych oprawkach zastąpiła szklami kontaktowymi, schudła dwa-dzieścia kilo i automatycznie odjęła sobie dziesięć lat.

Sterany życiem Polak wyglądał przy niej jak stary dziad. I to taki po trzech zawałach, ledwo wiążący koniec z końcem, bo żyjący z gołej renty i darów z Caritasu.

Jan i jego adwokat, mecenas Dobrawski, ubrany w przetarty na łokciach i kolanach garnitur, zajęli miejsca po drugiej stronie stołu konferencyjnego.

U jego szczytu zasiadł wynajęty przez oboje adwersarzy mediator.

– Krzysztof Lisiecki – przedstawił się zwaśnionym stronom. – Z papierów wynika, że jestem państwa trzynastym mediatorem. Mam nadzieję, że nie są państwo przesądni! – pozwolił sobie na mały żarcik dla rozluźnienia atmosfery,



którą można było ciąć piłą łańcuchową. – Możemy zacząć. Zebraliśmy się tu dzisiaj...

– ...aby połączyć – przerwał mu Polak i wskazał najpierw na naburmuszoną ekszono – tę złą kobietę – a później na siebie – i tego frajera...

– Przestań się wygłupiać, nie mam czasu na twoje błazenady – zachnęła się Żaneta i odruchowo poprawiła czarny kostium, chociaż ten leżał na jej wylaszczonym ciele po prostu idealnie. – Nakazali nam opłacić tego pajaca mediatora, to go opłaciliśmy, ale przecież z góry wiadomo, że tracimy tylko czas. Jolanta pozostanie pod moją wyłączną opieką. Koniec kropka. Wystarczy, że mi Olę zmarnowałeś. Joli ci zdeprawować nie pozwolę!

– Kochanie, nie unos się – szepnął do rozwścieczonej klientki mecenas Jodłowiec. – Obecny tu Jan Polak jest całkowicie niezdolny do sprawowania opieki nad Jolantą. Oto zaświadczenie od specjalisty – podał mediatorowi i mecenasowi Dobrawskiemu kilkanaście zadrukowanych kartek – który stwierdza, że w wyniku zaniedbań, ale też celowego działania Jana Polaka Jolanta ma poważne zaburzenia psychiczne, objawiające się niekontrolowanymi napadami agresji i długotrwałymi stanami depresyjnymi. Mamy również podejrzenia, że w czasie weekendów, które Jola spędzała pod nieczujnym okiem Jana Polaka, podawano jej znaczne ilości alkoholu oraz karmiono śmieciowym jedzeniem. Nabawiła się rozstroju żołądka i wykazuje typowe objawy zespołu abstynencyjnego.

Jan Polak chciał zaprotestować, wyzwać tego odprasowanego od góry do dołu, wzdłuż i wszerz, mecenas Jodłow-

ca od wariatów i kłamców, ale faktycznie przechodził wtedy trudny okres w pracy. Góra mocno go naciskała, a on potrzebował w domu ciszy i spokoju. Jola tego nie rozumiała, była za mała i rozpuszczona jak dziadowski bicz, więc potrafiła dać mu do wiwatu. Biegała po mieszkaniu, przewracała nieliczne sprzęty i robiła hałas, na który skarżyli się sąsiedzi i grozili donosem do stosownych służb.

Przez przypadek, zupełny przypadek, odkrył, że alkohol ją uspokaja, więc pozwalał jej czasem strzelić piwko, tylko w podbramkowych sytuacjach – dwa albo trzy, a wiadomo, że do jasnego pełnego najlepiej smakują chipsy.

I o to tyle szumu?

Przecież nie zrobił jej żadnej krzywdy!

– To nie wygląda najlepiej. – Z rozmyślań wyrwały go wypowiedziane szeptem słowa mecenasa Dobrawskiego, który skończył przeglądać dostarczone przez stronę przeciwną ekspertyzy. – Mój klient musi się bliżej zapoznać z tymi materiałami, ale na pierwszy rzut oka wyglądają na spreparowane.

Oburzony oskarżeniami mecenas Jodłowiec próbował zaprotestować, ale do rozmowy włączył się mediator.

– W takim razie proponuję się spotkać w tym samym gronie za tydzień – powiedział z uśmiechem, bo płacono mu od spotkania, a im więcej takowych, tym więcej pieniędzy wpadało mu do kieszeni. Miał przeczucie, że na Polakach obłowi się jak nigdy wcześniej. – Do widzenia państwu – dodał na odchodne i opuścił salę konferencyjną, zanim któraś ze stron zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Żaneta – Polak zwrócił się bezpośrednio do żony, która poderwała się z krzesła i ruszyła w stronę drzwi – nie



bądź taka. Tęsknię za Jolą, a ona za mną. Dwa weekendy w miesiącu, tylko tyle.

– Proszę nie zwracać się bezpośrednio do mojej klientki – wtrącił się Jodłowiec i zasłonił kobietę własnym ciałem, jakby w obawie, że eksmąż rzuci się na nią z maczetą.

– Ja mam ci pójść na rękę? Ja?! – wrzasnęła Żaneta.

Jej oczy płonęły nienawiścią w najczystszej postaci.

– Co ja ci takiego zrobiłem? – zapytał Jan i od razu przeklął własną głupotę.

– Co mi zrobiłeś?! Zdradziłeś mnie i upokorzyłeś! Dwadzieścia pięć kochanek, gnido! Dwadzieścia pięć!

Polak zaczął liczyć w myślach.

Podana przez Żanetę liczba znacząco odbiegała od stanu faktycznego. Na szczęście wynajęty przez nią prywatny detektyw nie kopał wystarczająco głęboko albo był po prostu skrajnie niekompetentny.

– W ciągu kilku tygodni przegrałeś spadek po dziadku na wyścigach, resztę wydałeś na dziwki, w ogóle nie interesowałeś się córką, praktycznie nie bywałeś w domu, bo nic, tylko praca i praca, a cała reszta na mojej głowie – kontynuowała wylizanie Żaneta. – Dwukrotnie podłożyli nam bombę pod samochód, cztery razy mnie wprowadzili, żeby wyrzucić na ciebie nacisk. Listów z pogroźkami i głuchych telefonów w środku nocy nie jestem w stanie zliczyć! Ale to wszystko jeszcze mogłabym ci wybaczyć...

– Naprawdę? – spytał zdziwiony Jan.

– Ale nigdy, przenigdy nie wybaczę ci tego, że próbowałeś przejechać moją matkę!

– A, to... – Machnął ręką Polak. – Ile razy będziesz mi to wypominała? Jaka ty jesteś pamiętliwa. Było, minęło. Pomyliłem sprzęgło z hamulcem, każdemu mogło się zdarzyć! – gładko skłamał. – I skończyło się brakiem trwałego uszczerbku na zdrowiu, niestety. Raptem trzy dni w szpitalu spędziła, a ile gadania... Żaneta, dokąd idziesz? Przecież rozmawiamy!

Ekszona opuściła pomieszczenie, przeklinając pod nosem, a za nią, niczym wierny pies, podążył mecenas Jodłowiec.

Kiedy oboje zniknęli z pola widzenia, mecenas Dobrawski poklepał klienta po ramieniu.

– Jakoś to będzie. Proszę się nie martwić na zapas – powiedział bez przekonania i sięgnął po długopis.

### 3.

Po opuszczeniu Centrum Mediacji, podłamany na duchu i, za sprawą kolejnego pliku wręczonych mu przez adwokata rachunków, niewypłacalny finansowo, Jan Polak udał się w stronę znienawidzonego i od wieków nieremontowanego miejsca pracy.

Dochodziła dziewiąta trzydzieści.

Teoretycznie spóźnił się półtorej godziny, praktycznie nikogo to nie obchodziło. Nie żeby miał coś pilnego do roboty. Głównie zajmował się wypijaniem hektolitrów czarnej jak smoła, najpodlejszej z podłych kawy i wypalaniem minimum trzech paczek papierosów dziennie.

Kiedy przekroczył próg komendy, poczuł znajomy aromat brudnych skarpet z domieszką zapachu wymiocin i prochu strzelniczego.



Nie zdążył mruknąć grzecznościowego „dobry”, bo wpadł na niego zasapany Kowalski – policjant o wyglądzie tak pospolitym jak jego nazwisko. Gdyby kiedyś popełnił przestępstwo na oczach tłumu, żaden ze świadków nie potrafiłby podać jego rysopisu.

– Komisarzu Polak, dobrze, że jesteście. Prosto do gabinetu. Naczelnica znowu wściekła – wyszeptał na jednym wdechu i pognał do kuchni po kolejną kawę, a może i jakiegoś na wpół chłodnego pączka, o ile mu się poszczęści.

Jan westchnął.

Jakby nie miał dość na głowie.

Teraz jeszcze doszło ugłaskanie bezpośredniej przełożonej, której wrzaski było słycać zza zamkniętych i potrójnie wzmocnionych drzwi.

Polak niechętnie zapukał i zaczekał na zwyczajowe „Wlazł!”.

Kiedy komenda padła, chwycił za klamkę i wsunął głowę do środka.

– Szefowa chciała mnie zobaczyć? – zapytał niepewnie i posłał naczelnicze wydziału swój najbardziej promienny z promiennych uśmiechów.

Małgorzata Foryś, zwana przez przełożonych, eks-mężów i niezliczonych kochanków naczelnicą, była piękną kobietą, która pracowitością, przebiegłością, ale przede wszystkim pazurami pomalowanymi wściekle czerwonym lakierem wydrapała sobie drogę do kolejnych awansów. Metr dziewięćdziesiąt dwa wdzianka i seksapilu w najczystszej postaci, o ile gustowało się w platynowych blondynkach zbudowanych jak greckie boginie.

– Nie wyprowadzaj ty mnie z nerw, Janek, tylko wchodź i siadaj na dupie, bo mamy do pogadania. – Ton jej głosu, ostry jak brzytwa, zdradzał, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych. – Co to jest? – rzuciła oskarżycielsko, wskazując na kartkę zapisaną nierównym pismem. – Co to, do jasnej cholery, ma być? Żart primaaprilisowy? Bo jak ty tak na poważnie, Janek...!

– Wypaliłem się – odparł komisarz Polak. – Chcę przejść na wcześniejszą emeryturę. Przestępcy już nie tacy jak za dawnych, dobrych czasów, morderstw jak na lekarstwo, człowiek się nudzi całymi dniami... A do tego żona ode mnie odeszła...

– I co z tego? – Naczelnica nie kryła zdziwienia. – Pięć nieudanych małżeństw mam za sobą. Cztery rozwody i jeden trwały rozpad pożycia z powodu nagłego zejścia współmałżonka. Praca albo życie prywatne. Myślisz, że ja nie mam czasami ochoty rzucić tej roboty w diabły i zaszyć się w mojej chatce myśliwskiej? Ale poczucie obowiązku mi nie pozwala!

– Ja nawet nie mam się gdzie zaszyć! Żaneta oskubała mnie do nitki! Z córką mam coraz gorszy kontakt, nie szanuje mnie, i wcale jej się nie dziwię. Jak mam jej zapewnić godziwą przyszłość, skoro zarabiam marne grosze? Ola przechodzi teraz trudny okres, boję się, że wpadnie w złe towarzystwo i się stoczy.

Foryś popatrzyła na niego z politowaniem.

– Zostawiłam synka w Gdańsku pod opieką ojca, mojego numero uno na liście eksów, kiedy miał sześć lat. Zamiast gotować zupki, przyjechałam robić karierę do Warsza-



wy. Młoda byłam, nie miałam czasu na pierdoły. Od tamtej pory widuję swoje dziecko góra dwa razy do roku. Ale czy ja z tego powodu rozpaczam, rwę włosy z głowy i uzalam się nad sobą i swoimi rodzicielskimi porażkami?

– Gocha, no co ty?! – Polak nie krył zdziwienia. – Znamy się od piętnastu lat, a ja nie miałem pojęcia, że masz dziecko! Nigdy o nim nie wspominałaś! – Rozejrzył się po gabinecie szefowej, dokładnie zlustrował jej zawalone papierami biurko, ale nigdzie nie dojrzał chociażby maleńkiego zdjęcia domniemanej latorośli.

– Jakoś nie nadarzyła się okazja – odparła niezrażona i szybko zmieniła temat: – A jak tam terapia? Robisz postępy?

– A idź mi z tą całą terapią! Pic na wodę, fotomontaż, tyle mam do powiedzenia w tym temacie. Doskonale wiem, że cierpię na depresję, stany lękowe, zespół stresu pourazowego, okresową impotencję wywołaną stresem i bezsenność. Do tej pory nie pogodziłem się ze zniknięciem matki, o które obwiniam ojca. Nie dogaduję się z bratem. Nie potrafię sobie poradzić z narastającą we mnie agresją ani budować trwałych relacji z kobietami. Czuję, jak od wewnątrz zżerają mnie wyrzuty sumienia, bo dotąd pozbawiłem życia dziesięć niewinnych osób! Na co mi ta cała terapia? – zapytał retorycznie.

– Chodzący z ciebie stereotyp. Aż dziw bierze, że nie jesteś bohaterem jakiegoś podrzędnego kryminału. I nawet prochowiec masz na sobie, chociaż termometr wskazuje dwadzieścia dwa stopnie. To się nazywa poświęcenie. Wizerunek przede wszystkim! – zakpiła. – Masz regularnie cho-



dzic na wizyty do doktor Wiąchy. Tak jak nakazał ci wysoki sąd po tym ostatnim nieuzasadnionym użyciu broni. Bez dyskusji.

– I o co tyle szumu. Raptem draśnięcie, a prymas darł się wniebogłosy! Chodzę, chodzę, ale to kompletna strata czasu! Każdego dnia śmierć zagląda mi w oczy. Wiesz, ile razy próbowali mnie odstrzelić? Zadźgać? Otruć? Uduśnić? Przeżyłem dwanaście zamachów na swoje życie, w tym ostatni w zeszły czwartek. Spojrzałem w otchłań, a ona pokazała mi środkowy palec. Bez przerwy czuję na plecach oddech wydziału wewnętrznego. Brakuje mi sił. Najpierw te pogrożki od mafijnych bossów, a teraz Edyta Górniak publicznie grozi mi urwaniem...

– Nikt ci nie kazał komentować jej wynurzeń, Janek – przerwała mu Gocha. – Wiem, mnie też ręka świerzbi, jak czytam te brednie, ale jesteśmy policjantami! Musimy dawać dobry przykład.

– Dobry przykład? Ilu ludzi bezpodstawnie oskarżyłem? Ile dowodów podłożyłem? Ilu świadków zastraszyłem? Ech, co tu dużo gadać. Gdyby nie Jolanta, to już dawno bym ze sobą skończył...

– Dość! – gwałtownie przerwała mu szefowa. – Mam dość słuchania o tej przeklętej Jolancie. Wystarczy, że zgodziłam się, żebyś w godzinach pracy chodził na te durne mediacje.

– Kur... – zaczął Polak, ale wymowne chrząknięcie szefowej sprawiło, że zaciął się w pół słowa. Foryś wskazała na słoik stojący na parapecie. – Nie mam, nie dam, ureguluję po wypłacie – burknął niezadowolony.



Od kiedy Foryś została orędowniczką kampanii „Policjancie, przeklinanie zostaw bandytom”, za każde niecenzuralne słowo wypowiedziane w swojej obecności pobierała stałą opłatę: dwie dychy za „pe”, trzy dychy za „ka” i cztery dychy za wszystkie na „cecha”.

– Popatrz na mnie. – Polak postanowił zmienić taktykę i zagrać na współczuciu. – Wory pod oczami. Twarz poorana zmarszczkami. Ostał mi się co drugi ząb, niedo-słyszę i prawie nie widzę na lewe oko. Bez przerwy trzęsą mi się ręce i łupie mnie w krzyżu. Podpisz wniosek o przejście na wcześniejszą emeryturę i daj mi się w spokoju nacieszyć tymi dwoma, może trzema latami życia, które mi jeszcze zostały!

– Nie podpiszę! – Foryś demonstracyjnie podarła wniosek na strzępy i wrzuciła je do kosza stojącego pod biurkiem.

– Ale dlaczego?! – Polak był bliski płaczu.

– Nie mogę!

– Możesz! Klnę się na naszą przyjaźń, Gocha, no podpisz, do cholery!

– Nie mogę, Janek, naprawdę! Na Boga, przecież ty masz dopiero TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ LAT!

Jan Polak poczuł się tak, jakby dostał w twarz.

Otwartą dłonią i z głośnym plaśnięciem.

Wzdrygnął się na samą myśl o tym, ile cholernych poniedziałków będzie musiał przeżyć, zanim wreszcie uwolni się ze szponów polskiej policji.

– Nie rób takiej miny. – Naczelnica zmieniła ton na łagodniejszy. – Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Dzisiaj dołączył do nas nowy kolega. Nieopierzony, ale zrobił

maturę w wieku szesnastu lat, ma dwa fakultety i umie krzyknąć „Stój, policja” w pięćdziesięciu dwóch językach. Wezmiesz go pod swoje skrzydła, nauczysz policyjnego fachu, bo młokos jeszcze prochu i krwi nie powąchał. A, i w miarę możliwości przekażesz mu całą swoją wiedzę na temat...

– Nie ma mowy! Nie będę robił za niańkę dla kogoś...

Foryś natychmiast mu przerwała:

– Ja się nie pytam, komisarzu Polak, ja komisarza informuję, że od dzisiaj do waszych obowiązków należy opieka nad tym młodym człowiekiem, który... – Wymianę zdań przerwało pukanie do drzwi. – Wlazł! – krzyknęła Foryś i do gabinetu wszedł na oko dwudziestokilkuletni, niski, ale przystojny chłopak o inteligentnym wyrazie twarzy. – Idealne wycucie czasu, Klimek – zwróciła się do nowo przybyłego. – Poznajcie się, komisarz Jan Polak, posterunkowy Klemens Kędziora.

Panowie podali sobie ręce.

Polak niechętnie, Kędziora z takim entuzjazmem, jakby właśnie spotkał swojego największego idola.

– Klemens – burknął komisarz i zmierzył przydzielony mu balast nienawistnym spojrzeniem. – Co za głupie imię, twoja matka musiała być niezłe nagrzana, jak je wyb... – uciął w pół zdania, widząc minę Foryś.

– Opiekuj się moim jedynym dzieckiem, Janek, bo jak chłopakowi jeden włos spadnie z głowy, to nie dożyjesz upragnionej emerytury!



4.

Jan Polak doskonale wiedział, że znajduje się na przegranej pozycji.

Chciał zaprotestować, ale nie mógł. Brakowało mu argumentów.

Nepotyzm?

To przecież narodowa tradycja. Kto nie dostał intratnej posady, bo wujek zna wiceministra od czegoś tam, niech pierwszy rzuci kamieniem!

Brak wymaganych kwalifikacji i pominięcie drogi służbowej?

Nikt się tym nie przejmował!

Małgorzata Foryś była jego przełożoną, ale też przyjaciółką, która na przestrzeni ostatniej dekady wielokrotnie ratowała go przed odsiadką.

Tak jak pod koniec dwa tysiące osiemnastego, kiedy po dopalaczach zażytych w ramach szeroko i całkowicie błędnie rozumianego eksperymentu procesowego zgubił decydujący dowód w sprawie o poczwórne zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Sąd nie miał innego wyjścia, jak na sto procent winnego zwyrodnialca uniewinnić. Oczywiście Polak miał swój honor i dopilnował, żeby bestia już nikogo więcej nie skrzywdziła, ale jeszcze jedna taka wpadka i na działce pod Garwolinem zacznie brakować miejsca – trzeba będzie zwłoki zakopywać w lesie, jak to robią pospolicci bandyci, którymi komisarz się brzydził. Żadnych więcej obuw, żadnego wymierzania sprawiedliwości na własną rękę, obiecywał sobie z całą stanowczością, bo Kowalska Barbara, córka Władysława, wścibskie babsko, co ma działkę po

sąsiedzku, znowu się będzie dopytywała, czym Jan nawozi ziemię, że mu te krzaki pomidorów tak wystrzeliły w górę.

Jakby nie miał dość kłopotów, naczelnica zrzuciła mu na głowę tego całego Klimka, syna – geniusza, o którego istnieniu Polak dowiedział się przed kwadransem. Pierwszego męża Gochy – wpływowego prokuratora Darka Kędziory – nigdy nie poznał, bo po rozwodzie został na Wybrzeżu i w stolicy się nie pokazywał, ale posterunkowy z całą pewnością odziedziczył urodę po ojcu, bo do matki nijak nie był podobny. Niecałe metr siedemdziesiąt wzrostu, oliwkowa cera, burza czarnych jak smoła loków, pełne usta i wielkie ciemne oczy stanowiły niezbity dowód na to, że Foryś za młodu gustowała w typie latino loverów. W kwiecie wieku, o ile wierzyć krążącym wśród podwładnych plotkom, brała wszystko jak leciało.

Podczas krótkiej prezentacji w obecności naczelnicy i zwyczajowej wymianie nieszczerých (ze strony Polaka) oraz jak najbardziej szczerých (ze strony Kędziory juniora) uprzejmości posterunkowy zrobił na komisarzu jak najgorsze pierwsze wrażenie – uśmiechnięty od ucha do ucha, zadowolony z życia, jakby właśnie wygrał los na loterii, przyjaźnie nastawiony do ludzi i tryskający na cztery strony świata młodzieńczym entuzjazmem. Urodzony optymistą i idealistą – nic, tylko strzelić w pysk.

– Tak się cieszę, że będziemy razem pracować, komisarzu – powiedział Klimek, zdecydowanie za długo ścisnąwszy spoconą dłoń Polaka. – Pan jest prawdziwą legendą wydziału zabójstw. Przerabialiśmy wszystkie pana sprawy. Nie mogę uwierzyć, że będę się uczył od człowieka, który schwytał Strażaka...



Na wzmiankę o najbardziej znanym polskim seryjnym mordercy Jan skulił się w sobie. Strażak pozbawił życia trzydzieści cztery osoby, paląc je żywcem, a przynajmniej do tyłu morderstw ostatecznie się przyznał. Opinia publiczna była zdania, że mógł mieć na sumieniu co najmniej trzy więcej ofiar.

Polska policja ścigała tego zwyrodnialca przez pięć długich lat. Żadnych tropów, żadnych poszlak, ani jednego świadka, który przypadkiem zapisałby numer rejestracyjny wozu, którym przemieszczał się podejrzany, albo chociaż zrobił zdjęcie jego twarzy, najlepiej w wysokiej rozdzielczości i podczas popełniania przestępstwa.

Wreszcie Strażak, rozczarowany faktem, że nikt nie potrafił go schwytać, a marzył przecież o ogólnopolskiej sławie, sam się zgłosił do wybranego na chybił trafił policjanta i do wszystkiego przyznał. Panowie zawarli porozumienie korzystne dla obu stron, na mocy którego Polak bez powiadomienia przełożonych dokonał spektakularnego zatrzymania w blasku fleszy, a Strażak otrzymał upragnioną umowę na serię książek i filmową biografię oraz, aby czas w więzieniu zbytnio mu się nie dłużył, tysiące listów od napalonych i z całą pewnością nie do końca normalnych fanek. Dwa lata po procesie jeden z korespondencyjnych romansów zakończył się ślubem w więziennej kaplicy.

Happy end na miarę Hollywood, w mordę jeża.

Po zatrzymaniu Strażaka minister MSWiA awansował Polaka na stopień młodszego aspiranta, chociaż ten nie miał przewidzianej w ustawie wysługi lat.

– ...i Lalkarza... – kontynuował Klimek, w ogóle nie zwracając uwagi na wyraz udręki malujący się na twarzy Polaka.

Sprawa Lalkarza nadal odbijała mu się czkawką.

Morderca wziął na celownik właścicieli sex-shopów, którym wpychał do gardła dmuchane lalki przed nadmuchianiem, a sieć takich przybytków prowadził jeden z prominentnych parlamentarzystów partii rządzącej. Nieoficjalnie, rzecz jasna, bo Krzysztof Grochał cały majątek przepisał na żonę, a poza tym nie wypadało mu zarabiać na seksie, bo był głęboko wierzący i wszelką perwersją się brzydził.

Polak bardziej od morderców nienawidził tylko polityków.

Miał podejrzanego, ale nijak nie potrafił udowodnić mu winy. Wziął gościa na stronę i wyłożył mu sprawę. W zamian za święty spokój, gwarancję nietykalności i emeryturę pod palmą, opłaconą w całości przez chcącą się pozbyć męża Grochałową, Polak dostał dwa worki dowodów, które podrzucił parlamentarzyście. Krzysztof Grochał groził policjantowi z za krat, uparcie twierdził, że jest niewinny i został przez policję wrobiony, ale nawet rządowe media nie chciały go wysłuchać, a prokurator generalny, do niedawna kolega od kieliszka, na konferencjach prasowych zwoływanych co piętnaście minut domagał się dla Lalkarza najwyższego wymiaru kary. I ekskomuniki.

Po zatrzymaniu Lalkarza Polak został najmłodszym podkomisarzem w historii polskiej policji.

– ...i Kolędnika...

– Dobrze, już dobrze – przerwała synowi naczelnica. – Wszyscy znamy dokonania komisarza Polaka. – Na samą wzmiankę o Kolędniku zrobiło jej się słabo. To była największa wtopa w historii polskiej policji i ona przyłożyła



do niej rękę. Gdyby nie to, że Polak zastraszył dziennikarza śledczego, który od początku deptał im po piętach i odkrył, że ten cały Kolędnik to pic na wodę, mający odwrócić uwagę opinii publicznej od afery z udziałem komendanta głównego i pewnej nastolatki, połowa policyjnej wierchuszki siedziałaby teraz za kratami. – Do roboty, panowie, przestępcy nie śpią – powiedziała z wymuszonym uśmiechem i wypchnęła ich za drzwi.

Po wyjściu z gabinetu szefowej Polak niechętnie wskazał Klemensowi wolne biurko i zajął się tym, czym każdy szanujący się policjant zajmuje się w poniedziałkowe przedpołudnie – bezmyślnym gapieniem się w mozaikę zacieków na od wieków niemytym oknie.

Po kwadransie krępującej ciszy, w ciągu którego zdążył wypić dwie kawy i wypalić cztery papierosy, mimo wiszącej nad jego krzesłem tabliczki z napisem: „Pod groźbą kary administracyjnej i opieprzu naczelnicy wydziału: Całkowity, kurna, zakaz palenia”, Polak postanowił wreszcie odezwać się do wlepiającego w niego gały Klimka.

– Słuchaj, młody. Robisz, co ci każę, nie wychylasz się, unikasz lejących w twoją stronę kul, nie zawracasz mi dupy pierdołami i może jakoś dojedziemy tym niedofinansowanym wózkiem do mety. I jeżeli liczysz na taryfę ulgową, bo twoja matka trzyma za strategiczne części ciała grube ryby na samej górze, to się przeliczysz! – Chciał jeszcze coś powiedzieć, najlepiej jakiś głodny kawałek o służeniu ludziom i takie tam motywujące brednie, ale wybiła trzynasta, a to oznaczało, że zaczyna się jego przerwa na lunch. O ile za lunch można było uznać talerz wyschniętych leniwych za



cztery dwadzieścia w poniedziałkowej promocji w barze mlecznym za rogiem. – Ja teraz wychodzę, w sprawach służbowych – dodał dla niepoznaki – a ty się łaskawie zajmij tymi papierami. – Przerzucił na blat młokosa część teczek od miesięcy zalegających na jego biurku.

– A co ja mam z nimi zrobić? – zapytał zaskoczony Kędziora.

– No, nie wiem – odparł zbity z tropu komisarz. – Przejrzyj czy coś – wyjaśnił podwładnemu i pognął do wyjścia, na wypadek gdyby młody próbował, nie daj Boże, zadać kolejne durne pytanie.

Znalazłszy się na ulicy, Polak poprawił prochowiec. Nosił go niezależnie od pogody, bo wytarty łach idealnie pasował do wizerunku prawdziwego faceta i bezkompromisowego detektywa.

W barze wyminął tłumek oczekujących do kasy, bo zawsze obsługiwano go poza kolejnością. Jedna z korzyści bycia psem, którego media – niejednokrotnie i za każdym razem bezpodstawnie – kreowały na bohatera. Jak zwykle humor popsuł mu widok okolicznych żebraków zjadających przy stoliku naprzeciwko wysmażone na złoto schabowe, kiedy on musiał się zadowolić leniwymi.

Po posiłku, spacerze po okolicy, przeczytaniu gazety na ławce w parku i nastraszeniu pary małolatów palących trawkę na szkolnym boisku gwiazda polskiej policji postanowiła wrócić na stanowisko pracy.

Tylko po to, by z głośnym sapnięciem, informującym obecnych o tym, jak ciężko zasuwał przez ostatnie godziny, klapnąć na fotel, spojrzeć najpierw na zakopanego w stercie



papierów Kędzioreę, potem na zegarek i natychmiast poderwać się z miejsca, by bez przytupu zakończyć kolejny dzień pracy.

Ale nie udało mu się nawet dojść do schodów.

Nagle otworzyły się drzwi do gabinetu Foryś. Wypadła z nich naczelnica we własnej, postawnej osobie i z wyrazem ekscytacji na twarzy krzyknęła w stronę Jana:

– Szykujcie gumofilce, komisarzu Polak. Dość marnowania pieniędzy podatników na pierdzenie w stołek! Mamy morderstwo w samym sercu Lasku Bielańskiego!